

# MUZYKA ERICHA ZANNA



Tłumaczenie: Ryszarda Grzybowska

Przestudiowałem mapy tego miasta z największą uwagą, ale na żadnej nie odnalazłem Rue d'Auseil. Nie były to tylko nowoczesne mapy, bo przecież zdaję sobie sprawę, że nazwy się zmieniają. Wręcz przeciwnie, zagłębiałem się we wszystkie najstarsze źródła i nawet osobiście przeszukałem każdą dzielnicę, bez względu na jej nazwę, która mogła by ewentualnie odpowiadać ulicy znanej mi jako Rue d'Auseil. Jest to dla mnie upokarzające, bo mimo wszystkich podjętych starań, nie mogę znaleźć domu, ulicy ani nawet przybliżonej lokalizacji miejsca, w którym, wiodąc ubogi żywot studenta metafizyki na uniwersytecie, słuchałem muzyki Ericha Zanna.

Nie dziwię się, że pamięć moja uległa zakłóceniu, bo w okresie, kiedy mieszkałem na Rue d'Auseil, moje zdrowie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne, mocno podupało. Przypominam też sobie, że nie utrzymywałem kontaktów z tymi kilkoma osobami, z którymi się zaznajomiłem. Ale żebym w ogóle nie mógł odnaleźć tego miejsca, to naprawdę zdumiewające i niespotykane; z uniwersytetu szło się na tę ulicę pół godziny, a poza tym odznaczała się tak szczególnymi cechami, że kto raz ją widział, nie mógł zapomnieć. Ale nie spotkałem nikogo, kto by widział Rue d'Auseil.

Znajdowała się po drugiej stronie mrocznej rzeki, na brzegach której stromo wznosiły się zbudowane z cegły magazyny o zamazanych oknach, biegł też ponad nią ciężki most z ciemnego kamienia. Nad rzeką zawsze panował mrok, tak jakby dym z okolicznych fabryk nigdy nie dopuszczał tu słońca. Wody tej rzeki zionęły straszonym smrodem, z jakim jeszcze nigdy w życiu się nie zetknąłem, myślę jednak, że to okaże się pomocne i któregoś dnia ją odnajdę. Za mostem znajdowały się wąskie, brukowane uliczki z szynami, potem teren lekko się wznosił, ale gdy dochodziło się do Rue d'Auseil, wznosił się stromo. Nie spotkałem już nigdy więcej tak wąskiej i tak stromej ulicy jak Rue d'Auseil. Było to niemalże urwisko, niedostępne dla żadnych pojazdów. W kilku miejscach znajdowały się schody, a na końcu ulicy wysoki, obrośnięty bluszczem mur. Bruk był nierówny, składał się z kamiennych płytek i z okrągłych kamieni, a gdzieś tam przeświecała naga ziemia z zeschniętymi chwastami. Domy były tu wysokie, ze spadzistymi dachami, niewiarygodnie stare, przechylone albo do tyłu, albo do przodu, albo na boki. Zdarzało się, że stojące naprzeciwko domy pochylały się do przodu i prawie stykały się ze sobą ponad ulicą tworząc łukowe sklepienie; było tu więc dość mroczno. Znajdowało się tu także kilka pomostów nad ulicą, łączących przeciwległe domy.

Tutejsi mieszkańcy wywierali na mnie szczególne wrażenie. Z początku przypisywałem to ich milczeniu i powściągliwości, potem doszedłem do wniosku, że przyczyna leży w czym innym - mianowicie w tym, że mieszkają tu wyłącznie starzy ludzie. Sam nie wiem, jak to się stało, że wynająłem pokój na tej ulicy, ale z chwilą, kiedy się tutaj zjawiłem, chyba przestałem być sobą. Mieszkałem w najrozmaitszych ubogich domach, z których mnie eksmitowano, gdyż nie miałem na zapłacenie komornego, aż wreszcie trafiłem na rozpadający się dom, w którym stróżował paralityk Blandot. Był to trzeci dom od końca ulicy i najwyższy ze wszystkich.

Pokój mój znajdował się na piątym piętrze, a był to jedyny zamieszkały pokój, cały bowiem dom prawie świecił pustkami. Jak tylko się sprowadziłem, już pierwszej nocy usłyszałem niezwykle dziwną muzykę dochodzącą z

poddasza i nazajutrz spytałem o to Blandota. Wyjaśnił mi, że to gra pewien stary Niemiec, skrzypek, niemowa, który podpisuje się Erich Zann, a gra wieczorami w orkiestrze w jakimś tanim teatrzyku. Wynajął ten odosobniony pokój wysoko na poddaszu, z jednym tylko oknem wychodzącym na ulicę, z którego roztaczał się widok ponad murem obrośniętym bluszczem na opadający w dół krajobraz - dlatego właśnie, że pragnął nocą grać na skrzypcach.

Słyszałem jego grę każdej nocy i choć nie dawał mi spać, byłem zafascynowany tą niezwykłą muzyką. Właściwie wcale się na muzyce nie znałem, ale byłem przekonany, że dźwięki, dobywane przez niego ze skrzypiec, nie miały nic wspólnego z muzyką, jaką dotychczas zdarzyło mi się słyszeć. Uznałem, że jest to kompozytor o zupełnie niezwykłym talencie. Im dłużej się wsłuchiwałem, tym większe robiła na mnie wrażenie i po tygodniu postanowiłem zawrzeć znajomość z tym starym człowiekiem.

Któregoś wieczoru, kiedy powracał z pracy, zatrzymałem go na korytarzu i powiedziałem, że pragnąłbym się z nim zaznajomić i posłuchać jego gry z bliska. Był niski, szczupły, biednie ubrany, prawie łysy, miał niebieskie oczy oraz groteskową twarz przypominającą satyra. Z początku zdawał się być oburzony i przerażony taką propozycją. Widząc jednak mój szczer, przyjacielski stosunek rozpogodził się i dał mi znak, abym poszedł za nim po ciemnych, skrzypiących i uginających się schodach na poddasze. Jego pokój, jeden z dwóch znajdujących się na starym poddaszu, mieścił się od strony zachodniej, a wychodził właśnie na mur stanowiący zakończenie tej ulicy. Był to ogromny pokój, ale wydawał się jeszcze większy przez to, że był nie urządzone i bardzo zaniedbany. Znajdowały się w nim tylko wąskie żelazne łóżko, obdrapana umywalka, mały stolik, spora szafa z książkami, żelazny pulpit do nut i trzy staroświeckie krzesła. Nuty leżały rozrzucone po całej podłodze. Ściany były z gołych desek, nigdy zapewne nieotynkowane; wydawało się, że nikt tu nie mieszka, wszędzie bowiem snuła się pajęczyna, a kurz leżał grubą warstwą. Świat piękna dla Ericha Zanna to niewątpliwie świat wyobraźni.

Gestem wskazał mi krzesło, a sam zamknął drzwi na wielką drewnianą zasuwę, po czym zapalił świece. Następnie wyjął skrzypce z podziurawionego przez mole pokrowca i usiadł na najmniej wygodnym krześle. Nie skorzystał z nut i pulpitu, tylko zaczął grać z pamięci, przez godzinę racząc mnie muzyką, jakiej w życiu nie słyszałem; musiała to być raczej jego własna kompozycja. Niełatwo ją opisać, jeżeli się nie jest znawcą muzyki. Było to coś w rodzaju fugi z powtarzającymi się pasażami o brzmieniu wprost urzekającym, ale najbardziej zadziwiło mnie to, że nie słyszę tych dziwnych melodii, jakie dochodziły mnie w moim pokoju.

Dobrze sobie zapamiętałem i nawet często nuciłem je i wygwizdywałem, toteż kiedy odłożył skrzypce, spytałem czyby nie zechciał ich zagrać. Na pomarszczonej twarzy satyra, tak spokojnej podczas gry, pojawił się wyraz gniewu i lęku, taki sam jak wtedy, gdy go zagadnąłem na schodach. Potraktowałem to lekko, jako kaprys starości, i usiłowałem go zachęcić zagwizdawszy urywki, jakie słyszałem ubiegłej nocy. Kiedy niemy muzyk rozpoznał melodię, twarz jego przybrała jakiś niesamowity wyraz, a długą, kościstą i zimną dłoń położył mi na ustach, żeby wyciszyć to niezbyt udane naśladownictwo. Potem zachował się jak zupełny dziwak, bo rzucił przerażone spojrzenie w stronę zasłoniętego okna, jakby się bał jakiegoś intruza - spojrzenie tym więcej absurdatne, ponieważ poddasze znajdowało się wysoko i było niedostępne, górowało bowiem nad wszystkimi przyległymi dachami, nie mówiąc już o tym, że tylko z tego jednego okna, jak powiedział dozorca, roztaczał się widok ponad murem na opadające wzgórze.

Spojrzenie tego starego człowieka przypomniało mi słowa Blandota i może to był kaprys, ale przyszła mi ochota, aby popatrzeć na rozległą i oszałamiającą panoramę spowitych blaskiem księżyca dachów i oświetlonego miasta za wzgórzem, której nikt z mieszkańców Rue d'Auseil poza tym dziwnym muzykiem nie miał możliwości oglądać. Podszedłem do okna i już miałem odsunąć jakieś bardzo dziwne zasłony, gdy podskoczył do mnie niemy lokator tego pokoju z jeszcze większym gniewem i lękiem; tym razem głową wskazywał na drzwi i obiema rękami ciągnął mnie nerwowo w tym kierunku. Oburzyło mnie takie zachowanie gospodarza i stanowczo zażądałem, aby mnie puścił, sam bowiem chętnie stąd wyjdę i to natychmiast. Zwolnił uścisk, a widząc, że jestem oburzony i dotknięty, wyraźnie się uspokoił. Znowu mnie mocno uchwycił, ale tym razem przyjacielsko, i kazał mi usiąść na krześle; z wyrazem zatroskania na twarzy podszedł do rozchwanego stołu i ołówkiem napisał kilka słów staranną francuszczyzną cudzoziemca.

Kartka którą mi wręczył, zawierała prośbę o tolerancję i przebaczenie. Pisał, że jest stary, samotny, że jest rozkojarzony nerwowo i omotany różnymi lękami, co ma związek z jego muzyką i jeszcze innymi rzeczami. Miło, mu było, że słuchałem, jak grał, i ucieszy się, jeżeli go jeszcze kiedyś odwiedzę i nie będę zwracał uwagi na jego dziwactwa. Nie może on jednak grać tej tajemniczej melodii nikomu i nie może też słuchać jej w niczym wykonaniu; nie znosi również, aby dotykać czegokolwiek w jego pokoju. Nie miał pojęcia aż do naszej rozmowy na schodach przed chwilą, że słyszał jego grę w moim pokoju, toteż prosi, abym porozmawiał z Blandotem i wynajął pokój na niższym piętrze, gdzie nie będę mógł słuchać jego gry. Napisał też, że pokryje różnicę w opłacie za komorne.

Kiedy siedząc odczytywałem tę niezręczną francuszczyznę, obudziło się we mnie współczucie dla tego starego człowieka. Był ofiarą fizycznego i nerwowego załamania, podobnie jak ja, a moje metafizyczne studia usposobiły mnie łagodnie do ludzi. Panującą ciszę zakłócił jakiś hałas od strony okna - to wiatr musiał poruszyć okiennicę, ja jednak nie wiadomo dlaczego podskoczyłem gwałtownie, podobnie zresztą jak i Erich Zann. Toteż zaraz, gdy skończyłem czytanie, uściśnąłem jego dłoń i wyszedłem w nastroju przyjacielskim.

Nazajutrz Blandot wyznaczył mi kosztowniejszy pokój na trzecim piętrze, pomiędzy mieszkaniem starego lichwiarza i pokojem szacownego tapicera... Na czwartym piętrze nikt nie mieszkał.

Wkrótce przekonałem się, że Zann wcale tak bardzo nie pragnął mojego towarzystwa, jak mi się zdawało tego dnia, kiedy to nakłaniał mnie do wyprowadzenia się z piątego piętra. Już nie poprosił, abym go odwiedził, a kiedy sam do niego przyszedłem, był skępowany i grał apatycznie. Grał zresztą zawsze tylko nocą, bo w dzień spał i nikogo do siebie nie wpuszczał. Nie darzyłem go zbytnią sympatią, choć pokój na poddaszu i tajemnicza muzyka wciąż mnie fascynowały. Marzyłem, żeby wyrzeć przez to okno ponad murem i zobaczyć niewidzialne zbocze wzgórze, a także oświetlone blaskiem księżyca dachy i wieżycy znajdującego się poniżej miasta. Pewnego razu wspiąłem się tam po schodach, kiedy Zann był w teatrze, ale drzwi były zamknięte.

Udało mi się jednak podsłuchiwać nocną grę tego niemego starca. Najpierw na palcach wchodziłem na moje dawne, piąte piętro, potem zabrawszy się na odwagę wspinałem się jak najciszej po skrzypiących schodach na poddasze. Tam w wąskim korytarzu wsłuchiwałem się poprzez zamknięte drzwi z zakrytą dziurką od klucza w dźwięki, które napełniały mnie dziwną grozą... grozą pomieszaną ze zdziwieniem i tajemniczą melancholią. Nie były to jakieś straszne dźwięki, bynajmniej, ale towarzyszyła im wibracja zupełnie niespotykana na naszym ziemskim globie, a w pewnych momentach wydawało się, że jest to symfonia wykonywana nie przez jednego muzyka. Doprawdy, ten Erich Zann to jakiś niespotykany geniusz. W miarę jak mijały tygodnie, grał z coraz większym zapamiętaniem, ale jednocześnie był wymizerowany i przemękał się ukradkiem, budził po prostu litość. Teraz już mnie w ogóle do siebie nie dopuszczał, a na schodach po prostu mnie nie dostrzegał.

Pewnej nocy, kiedy stałem pod drzwiami, usłyszałem, że pisk skrzypiec przerodził się w chaotyczną kakofonię dźwięków; było to piekło; zwątpiłbym w moją własną poczytalność, gdybym nie miał pełnej świadomości, że odgłosy te dochodzą z zaryglowanego pokoju i że dzieje się tam coś strasznego - rozległ się przeraźliwy, nieartykułowany krzyk, jaki tylko niemy człowiek może z siebie wydać, i to w chwilach największego przerażenia albo udręki. Zastukałem do drzwi, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Czekałem w ciemnym korytarzu drząc z zimna i zdenerwowania, aż wreszcie usłyszałem, że biedny muzyk podnosi się z podłogi przytrzymując się krzesła. Przekonany, że musiał zemdleć i właśnie odzyskuje świadomość, znów zacząłem stukać do drzwi i zapewniać go, że to nie kto inny, tylko ja. Poczłapał do okna, zamknął okiennicę i opuścił szybę, po czym dotarł do drzwi, które z pewnym wahaniem w końcu otworzył i wpuścił mnie do środka. Tym razem widać było, że się naprawdę ucieszył na mój widok; chwycił mój płaszcz, jak dziecko chwyta się spódnicy matki, a na jego twarzy pojawiła się prawdziwa ulga.

Drżący z emocji starzec kazał usiąść mi na krześle, a sam opadł na drugie, obok którego leżały na podłodze skrzypce i smyczek. Przez moment siedział zupełnie biernie, kiwał tylko głową sprawiając paradoksalne wrażenie, że intensywnie czegoś nasłuchuje. Po chwili na jego twarzy odmalowało się zadowolenie; przeniósł się na krzesło przy stole i napisawszy na kartce kilka słów podał mi, po czym znów wrócił do stołu, przy którym zaczął pisać szybko i nieprzerwanie. W liście błagał mnie, abym okazał miłosierdzie i choćby dla zaspokojenia własnej ciekawości, zczekał, aż on opisze dokładnie w języku niemieckim wszystkie niepojęte zjawiska i lęki, jakie go trapią. Czekałem więc, a niemy starzec pisał.

Po upływie godziny, kiedy wciąż jeszcze pisał układając kartki jedna na drugiej, a ja czekałem, Zann drgnął, jakby czymś przestraszony. Zaczął się wpatrywać w zasłonięte okno i nasłuchiwać w napięciu. Po chwili wydało mi się, że i ja coś słyszę; nie były to co prawda jakieś nieprzyjemne odgłosy, ale niezwykle subtelna, cicha, płynąca z niezmiernie dalekiej dali melodia. Można by pomyśleć, że jakiś muzyk jest w sąsiednim domu albo w jakimś mieszkaniu za wysokim murem, poza który nigdy jeszcze nie zdołałem spojrzeć. Na Zannie zrobiło to straszne wrażenie, rzucił pióro, podniósł się i chwyciwszy skrzypce wypełnił noc najbardziej szaloną muzyką, jaka kiedykolwiek dobywała się spod jego smyczka.

Na próżno by opisywać grę Ericha Zanna tej strasznej nocy. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem takiej muzyki, a do tego wszystkiego widziałem wyraz jego twarzy, który świadczył dobitnie, że powodem tej gry jest paniczny lęk. Usiłował hałasować, coś odstraszyć albo odpędzić... ale co, nie miałem pojęcia, wyczuwałem jednak, że musi to być coś strasznego. Gra była pełna fantazji, nieprzytomna, histeryczna, ale do samego końca nosiła znamiona najwyższego geniuszu, którym ten stary człowiek był obdarzony. Rozpoznałem melodię - był to taniec węgierski grywany często w teatrach. Nagle uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy słyszę, aby Zann wykonywał utwór innego kompozytora.

Coraz głośniejsze i głośniejsze, coraz bardziej szaleńcze piski i zawrota dobywały się ze zrozpaczonych skrzypiec. Muzyk ociekał potem, wykrzywił się jak małpa, cały czas wpatrując się w zasłonięte okno. Pod wpływem tej gry niemalże widziałem dziwnych satyrów i bachantki wirujące w oszalałym tańcu pośród kipiących otchłani chmur, dymu i błyskawic. Wtem wydało mi się, że słyszę przejmujący, jednostajny dźwięk, który nie mógł się dobywać ze skrzypiec; spokojny, świadomy, z określonym celem, szyderczy głos gdzieś z dali.

Wtedy to zaczęły stukać okiennice, poruszane wyjąłym wiatrem nocy, który zerwał się jakby w odpowiedzi na niesamowitą muzykę rozlegającą się w pokoju. Nie miałem pojęcia, że skrzypce mogą dobywać z siebie takie dźwięki. Niedomknięte okiennice waliły w okno coraz głośniejsze, aż nagle szybka rozpadła się w drobne kawałki, a do pokoju wtargnął lodowaty wiatr, od którego zaczęły skwierczeć świece i zaszeleściły kartki na stole, na których Zann zaczął spisywać swoje tajemnice. Spojrzałem na Zanna, ale był jakby nieprzytomny, nic nie widział. Niebieskie oczy wychodziły mu z orbit, były szklane i niewidome, a jego zapamiętała gra przeszła w orgię niesamowitych dźwięków dobywających się jakby mechanicznie, których żadne pióro nie zdołałoby opisać.

Nagły podmuch, silniejszy niż wszystkie dotychczasowe, porwał rękopis i poniósł w stronę okna. Chciałem złapać rozpędzone kartki, ale nim dopadłem stłuczonej szyby, już uleciały na zewnątrz. Wtedy przypominałem sobie, że już od tak dawna pragnąłem wyrzeć przez to okno, jedyne na Rue d'Auseil, z którego roztacza się ponad murem

widok na zbocze wzgórze i leżące niżej miasto. Było ciemno, ale przecież latarnie zawsze się palą nocą, miałem więc nadzieję, że ujrzę ją mimo deszczu i wiatru. Kiedy jednak wyjrzałem z tego najwyżej umieszczonego okna na poddaszu, mając za sobą skwierczące świece i oszalałe dźwięki skrzypiec pomieszane z wyciem nocnej wichury, nie zobaczyłem miasta ani przyjaznych świateł zapamiętanych ulic, tylko czerń bezkresnej otchłani... niewyobrażalnej, wypełnionej tylko ruchem i muzyką, nie przypominającej niczego, co ma związek z ziemią. W tym momencie wiatr zdmuchnął świece i znalazłem się pośród dzikiej, nieprzeniknionej ciemności wypełnionej chaosem i piekłem, a także demonicznym szaleństwem wyjących nocą skrzypiec.

Cofnąłem się w mrok izby nie mając żadnych możliwości zapalenia światła, wpadłem na stół, przewróciłem krzesło, torując sobie drogę tam, gdzie rozlegały się dźwięki wstrząsającej muzyki. Postanowiłem za wszelką cenę uratować siebie i Ericha Zanna, bez względu na przeciwstawiające mi się siły. Wydawało mi się, że musnęło mnie coś lodowatego, krzyknąłem, ale straszny głos skrzypiec wszystko zagłuszał. Nagle uderzył mnie smyczek, a więc byłem już blisko Zanna. Dotknąłem jego włosów z tyłu głowy, a następnie potrząsnąłem go za ramię, aby go przywołać do świadomości.

Nie zareagował na to, grał nadal, nie zwalniając tempa. Położyłem mu rękę na głowie, powstrzymując w ten sposób jej mechaniczny odruch kiwania, i wrzasnąłem mu w same ucho, że musimy uciekać przed nieznanymi istotami władającymi nocą. Nie zareagował, nie przerwał swojej opętańczej gry, a wiatr w najdziwniejszych porywach tańczył po całym poddaszu. Kiedy dotknąłem jego ucha, przeszył mnie dreszcz, nie wiedziałem dlaczego... dopóki nie dotknąłem jego twarzy... lodowatej, sztywnej, nieruchomej, której szklane oczy wpatrywały się bez celu w pustkę. Wtedy to jakimś cudem odnalazłem drzwi i wielką, drewnianą zasuwę i wyrwałem się z tej ciemności wypełnionej upiornym wyciem przeklętych skrzypiec, które jeszcze bardziej się nasiliło, kiedy znalazłem się na zewnątrz.

Skacząc, zsuwając się, niemal w powietrzu zlatywałem z tych nieskończenie długich i ciemnych schodów; wpadłem na wąską, stromą starą ulicę, z chylącymi się do ruiny budynkami i pokonując schody oraz bruk znalazłem się wreszcie na niżej położonych ulicach, przy cuchnącej rzece płynącej w kanionie otoczonym wysokimi murami; pokonałem ciemny most i znalazłem się pośród szerszych i zdrowszych ulic oraz bulwarów; te straszne wrażenia pokutują we mnie do dzisiaj. Pamiętam też, że wcale nie było wiatru, że świecił księżyc i że całe miasto migotało w blasku latarni.

Mimo usilnych poszukiwań i badań nie odnalazłem Rue d'Auseil. Ale nie jest mi z tego powodu przykro; nie żałuję też, że zginęły niepojęte głębie gęsto zapisanych kartek, które mogły wyjaśnić tajemnicę muzyki Ericha Zanna.

**Autor:** Howard Phillips Lovecraft

---

[Początek]